

A photograph of a bride and groom in traditional Hasidic wedding attire. The bride is on the left, wearing a white lace dress and a white head covering. The groom is on the right, wearing a light green suit, a white shirt, a striped sash, and a large black fur hat. They are sitting on a patterned rug.

Nina Solomin

OK, amen

**Miłość i nienawiść
w świecie nowojorskich
chasydów**



Nina Solomin

OK, amen.

**Miłość i nienawiść w świecie nowojorskich
chasydów**

tłumaczenie Ewa Wojciechowska



Tytuł oryginału: *Ok, amen. Om kärlek och fientlighet i chassidernas New York*

Copyright © Nina Solomin

Copyright © for the translation by Ewa Wojciechowska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Weryfikacja językowa i merytoryczna:

Anna Klingofer-Szostakowska

Promotor: Mikołaj Kołyszko

Darmowy fragment promocyjny * Tekst przed korektą
--

Wydawnictwo Otwarte

www.otwarte.eu

Wioska w wielkim mieście

– Niemożliwe. To po prostu niemożliwe, za dużo przemawia przeciwko tobie. Nie jesteś religijna i nie znasz jidysz. W dodatku jesteś niezamężna! W życiu cię do siebie nie dopuszczą.

Mniej więcej tak wyglądała każda odruchowa reakcja moich znajomych w Nowym Jorku, kiedy im oznajmiałam, że chcę poznać bliżej skrajnie ortodoksyjnych Żydów zwanych chasydami, żyjących w tym mieście.

Sasha, artysta, przestrzegał mnie, bym uważała na to, co o nich piszę. Słyszał, że mają własną milicję z obozami szkoleniowymi ulokowanymi gdzieś za miastem. Karyn, student filmoznawstwa, dopytywał z uśmieszkiem, czy to prawda, że chasydzi są tak pruderyjni, iż robią to przez dziurkę w koszuli nocnej. Obie pogłoski są przykładem dziesiątek podobnych krążących na temat społeczności chasydzkiej po całym Nowym Jorku. Każdego dnia widuje się chasydów na ulicach czy w metrze, ale jestem pewna, że większość mieszkańców tego wielkiego miasta

ma bardzo nikle wyobrażenie na temat tego, kim w rzeczywistości są owi ubrani na czarno Żydzi z pejsami. Nic dziwnego więc, że krążą na ich temat niestworzone wymysły.

W judaizmie jest szeroka gama ortodoksyjnych grup, lecz chasydzi zaliczają się do najradykałniejszych. Nawet pośród nich znaleźć można mniejsze, różniące się między sobą nieco grupy czy odłamy rozsiane w wielu częściach świata. Ci, których opisuję, żyją w dzielnicy Williamsburg w Brooklynie. Dla osoby wtajemniczonej mają oni charakterystyczne dla siebie cechy, które wyróżnią brooklińskiego chasyda spośród innych na czarno odzianych ortodoksyjnych Żydów w kapeluszach, jakich widuje się czasem w tłumie na ulicach Londynu, Jerozolimy czy Nowego Jorku.

Ogólnie rzecz ujmując, chasydów wyróżnia skrajna ortodoksyjność religijna oraz uparte dążenie do zachowania liczącej ponad dwieście pięćdziesiąt lat kultury zakorzenionej w żydowskiej społeczności Europy Wschodniej. Mówią w języku jidysz, noszą staroświeckie, tradycyjne

stroje i przestrzegają zwyczajów i tradycji z czasów, które dawno przeminęły.

Strój męski ma iście osiemnastowieczny sznyt. Chasydzi wdziewają spodnie z nogawkami wiązanymi na wysokości kolan, białe podkolanówki i długie chałaty. Na tę modłę, choć kolorowo, ubierała się w owym czasie polska szlachta (podobne różnobarwne elementy odzienia można odnaleźć również w szwedzkich strojach ludowych). Stroje chasydzkich kobiet rządzą się regułami własnej mody, nie wychodzą jednak, rzecz jasna, poza ramy hałachy, zbioru przykazań religijnych określającego między innymi, które części kobiecego ciała powinny być zasłonięte.

Chasydów porównuje się czasem do chrześcijańskiej społeczności amiszów. Obie grupy są radykalnie konserwatywne i w dużej mierze izolują się od świata. Jednak podczas gdy amerykańscy amiszowie to rolnicy żyjący na odludziu, chasydzi, o których piszę w tej książce, wybrali życie w wielkiej metropolii. Od pokoleń byli mieszkańcami miast. I chcąc odciąć się od wpływów współczesnego świata, stworzyli sobie getto – jego mury nie są

zbudowane z cegieł czy kamieni, ale pozostają równie nieprzeniknione.

Kiedy trafiłam do Williamsburga po raz pierwszy, przyszło mi do głowy, że znalazłam się w miejscu, w którym zatrzymał się czas. Chasydzi uparcie opierają się potężnej fali popkultury zalewającej cały świat. Gardzą radiem i telewizją, nie czytają świeckiej prasy. Zakazane są muzyka rozrywkowa oraz sport. Wielu chasydów nie ma pojęcia lub nie interesuje się tym, co się dzieje poza ich społecznością. Pojęcia takie jak „nowoczesność” czy „odnowa” – powtarzane w świecie Zachodu niczym mantra – mają dla nich negatywny wydźwięk.

Cóż tak atrakcyjnego ma w sobie owa tajemnicza społeczność, że jej członkowie obojętnie machają ręką na popularne serie telewizyjne i zdobycze najnowszych technologii? Co sprawia, że mają tupet i odwagę żyć w samym środku Nowego Jorku, jednego z najnowocześniejszych miast na świecie, i okazywać mu tak wielkie lekceważenie? To zakrawa na sensację. Nie mieści się w głowie.

Chasydzi są w pełni skupieni na religii. Skrupulatnie przestrzegają praw ortodoksyjnego judaizmu. Pobożność rządzi wszystkim, co robią, od chwili przebudzenia, gdy wstają z łóżka, obmywają ręce i dziękują Bogu za to, że dał im kolejny dzień, aż do modlitwy wieczornej, którą odmawiają, układając głowę na poduszce. Przykazania religijne mówią im, co i jak mają jeść, co mają myśleć, a także kiedy i w jaki sposób uprawiać seks. Mężczyźni chodzą się modlić do małych williamsburskich synagog trzykrotnie w ciągu dnia. Poza tym całe życie spędzają na studiowaniu Tory, pięciu pierwszych ksiąg Biblii, oraz Talmudu, będącego jej komentarzem.

*

Na początku planowałam napisanie zwykłego reportażu o chasydach z Williamsburga. Nie przyszłoby mi wówczas do głowy, że powstanie z tego książka. Projekt rozrastał się tym bardziej, im dłużej u nich przebywałam. Zaczęło się od wąsko zakrojonej, osobistej ekspedycji, która

miała odpowiedzieć na nurtujące mnie pytanie, czy naprawdę tak trudno jest wykuć w symbolicznym odgradzającym tych ludzi od świata murze choćby cieniutką szczelinę umożliwiającą poznanie ich życia od podszewki. I przez długi czas było tak, jak wszyscy wokół twierdzili – podjęłam się niemożliwego.

Książka ta opisuje kulturę, która w wielu aspektach radykalnie różni się od kultury dominującej w świecie Zachodu. Chciałam zbadać społeczne i psychologiczne mechanizmy sterujące religijnym fundamentalizmem. Zapewne pragnęłam też bliżej poznać świat swoich żydowskich przodków i lepiej zrozumieć własną tożsamość. Uzyskałam odpowiedzi na wiele pytań, jednak kiedy opuszczałam Williamsburg, w mojej głowie roіło się od ludzi. Większość z nich miała obraz świata i poglądy, z którymi w żaden sposób nie mogłabym się zgodzić. Ale byli to ludzie z krwi i kości, mający swoje radości i troski, pieśni i momenty milczenia, obawy i imponujące wewnętrzne ciepło.

*

Chcąc zrozumieć dzisiejszy chasydyzm, trzeba poznać jego korzenie oraz wydarzenia historyczne, które go uformowały. Skrócone dzieje tego ruchu religijnego zamieściłam w rozdziale *Dawno temu* oraz *Odtwarzanie świata*.

Po II wojnie światowej po ruchu chasydzkim, który przed Zagładą rozrósł się we wschodniej Europie na skalę masową, została jedynie garstka ludzi. A dziś, zaledwie trzy, cztery pokolenia później, dzięki wysokiemu współczynnikowi dzietności społeczność chasydów znów rośnie w siłę. Tylko w Nowym Jorku i jego okolicach żyje około dwustu tysięcy chasydów, a w całych Stanach Zjednoczonych jest ich ponad pół miliona. Większe społeczności chasydów żyją też między innymi w Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Belgii i Izraelu.

Na ile jestem w stanie to ocenić, Zagłada znacząco wpłynęła na radykalny kierunek, jaki obrał współczesny chasydyzm. Moje zainteresowanie tą społecznością brało się również z faktu, że Zagłada dotknęła i mojej rodziny. Moja mama urodziła się w Polsce w latach trzydziestych

ubiegłego stulecia i większość jej krewnych została zamordowana podczas wojny.

Zapewne z tej przyczyny pierwsza wizyta w Williamsburgu poruszyła we mnie czułą strunę – ta niezwykła dzielnica odpowiadała moim, słusznym czy też nie, wyobrażeniom o tym, jak wyglądało życie moich przodków we wschodniej Europie. Poruszona młodzieńczym sentymentem, poczułam, że chasydzi są mi w jakiś sposób bliscy. Miałam wrażenie, że ich rozpoznaję. Przysadziste starsze kobiety o semickich rysach twarzy wyglądały jak moja babcia, a towarzyszące im dziewczynki przypominały mi kuzynki.

Jednak moje ciepłe uczucia wobec nich przez długi czas pozostawały nieodwzajemnione. Czułam się tak, jakby odrzucono moje oświadczyzny. W oczach tych ludzi byłam kimś obcym ze świeckiego świata i traktowali mnie z tą samą okazywaną mu obojętnością. Moja pierwsza, nostalgiczna podróż do świata chasydów była podszyta niewiedzą – nigdy przecież nie rozmawiałam z żad-

nym z nich. Szukałam kontaktu w sklepikach, restauracjach lunchowych i na miejskim basenie w Williamsburgu. Często wracałam do domu z uczuciem odrzucenia.

Mimo to właśnie ów chłód okazywany przez chasydów pozwolił mi podjąć ostateczną decyzję. Przepaść między moimi niezgrabnymi próbami zbliżenia się do nich a ich jawną wrogością była wręcz szokująca. Nie dawało mi to spokoju. Uwierało jak kamyk w bucie.

Oni byli tajemniczy, ja ciekawa.

A to opowiedzieć o tym, co się zdarzyło.

Pływalnia

Williamsburski basen miejski, wcześniej zamknięty przez długi czas, niedawno znów się otworzył – świeży, czysty, wyremontowany. Trzy przedpołudnia w tygodniu opatrzone w grafiku informacją „*women only*”. W praktyce oznacza to „wstęp wyłącznie dla chasydek”. Raz po raz wybieram się na pływalnię w tych godzinach. Jestem kobietą, więc nie zabronią mi wstępu. Choć nie taką, o jaką im chodziło. Pewnej środy koło jedenastej wkraczam więc do lśniącego nowością holu. Zwykle już stąd przez przeszkloną ścianę widać pływających ludzi, ale tym razem zaciągnięto grube zasłony. W okienku siedzi szczupła kobieta w służbowym uniformie.

– Nie ma sensu, żeby pani wchodziła o tej porze – wyjaśnia.

– Dlaczego?

Patrzy na mnie jak na osobę z ograniczoną zdolnością do myślenia.

– Nie da się pływać. W środku jest tłum. Od samego rana przychodziły całymi hordami.

– Nie szkodzi. Wejdę, skoro już przyszedłam – odpowiadam, zarzucając uchwyt torby wyżej na ramię.

– Nie popływa pani – upiera się kobieta. – Niech pani przyjdzie o dwunastej. Wtedy zaczyna się *mixed swimming*.

Przez chwilę patrzymy na siebie. Próbuje ukryć zniecierpliwienie. W końcu ona wzrusza ramionami i robi minę mówiącą „jak sobie chcesz”, naciska guzik i wpuszcza mnie do damskiej przebieralni. Wewnątrz jest pusto. Na wieszakach widzę pojedyncze chustki i peruki. Przebieram się w kostium i wchodzę na basen. Staje mi przed oczami falująca łąka kobiecych ciał – białych, młodych, otyłych, w średnim wieku i pomarszczonych – wszystkie są ubrane we wzorzyste sukienki i pastelowe czepki. Wszystkie są chasydkami. Nawet ratowniczką mówi w jidysz.

Kieruję się do najbliższego narożnika, moje klapki mlaszczą na kafelkach. Przez okna w dachu wpadają do wnętrza promienie przedpołudniowego słońca, rzucając na powierzchnię wody ruchliwe zajaczki. Szybko wcho-

dzę do basenu, by uniknąć zdziwionych spojrzeń. Rzeczywiście, trudno pływać, bo w wodzie jest tłok. Muszę dostosować tempo do sunących przede mną w żółtym tempie starszych pań i jednocześnie uważać na korpu-lentną kobietę prącą przed siebie i taranującą wszystko po drodze niczym czołg.

Mimo to lubię przychodzić tutaj w te dni. Panuje uroczysty nastrój i wydaje się, że dla tych kobiet zjawienie się tu stanowi w równym stopniu wydarzenie towarzyskie, co okazję do zażycia odrobiny ruchu. Wzdłuż krawędzi basenu kobiety zbijają się w grupki i plotkują. Wygląda to jak spotkanie zapoznawcze w chlorowanej zielonkawej aurze. Niebacząca na nic kobieta czołg pokrzykuje na te, które stanęły jej na drodze.

– Idźcie sobie pogadać do strefy dla początkujących, tutaj się pływa!

Dopływam do końca i robię sobie krótką przerwę obok wysokiej kobiety o sarnich oczach i w różowym czepku. Uśmiechamy się do siebie. Chasydki są w tym miejscu o wiele przyjaźniejsze i bardziej wyluzowane niż wówczas, kiedy mijam je na ulicy.

- Często tu przychodzisz? – pyta mnie.
- Tak, ale czasem o innej porze.
- Gdzie mieszkasz?
- Tutaj, w Williamsburgu.
- Naprawdę? – dziwi się. – W którym miejscu?
- Na Broadway, zaraz przy moście.
- Ojej, nie jest tam niebezpiecznie?
- Nie, wcale nie. A ty gdzie mieszkasz?

Wymienia ulicę w części chasydzkiej i zaraz wypytuje mnie dalej, z nieskrywanym zainteresowaniem:

- Czym się zajmujesz? Skąd pochodzisz?

Odpowiadam, że recenzuję książki dla pewnej gazety. Owszem, można się z tego utrzymać. Tak, moja mama mieszka w Szwecji, a ja żyję na własną rękę. Nie, nie czuję się samotna z dala od rodziny.

– Ech, uwielbiam książki – wyznaje z nagłym entuzjazmem. – Mój mąż też dużo czyta.

- Naprawdę? Co najchętniej czytacie?

– On prenumeruje magazyn o cygarach. Nie jest nawet taki zły, sporo w nim ciekawych artykułów – tłumaczy z zaangażowaniem. – Ja najbardziej lubię biografie.

– O, jak miło. Czytałaś ostatnio jakąś ciekawą?

Kobieta lekko się czerwieni i na moment jej twarz przybiera barwę zbliżoną do czepek. Po chwili odpowiada ściszym głosem:

– Autobiografię Mii Farrow...

– Sporo o niej było w mediach, ale sama jej nie czytałam – papłę w odpowiedzi.

Jednak sarniooka stawia tutaj kropkę. Posyła mi grzeczny uśmiech i odpływa. Zupełnie jakby nagle zdała sobie sprawę, że za bardzo się rozgadała o rzeczach, które lepiej zachować dla siebie. Autobiografia Mii Farrow to nie lektura dla chasydzkiej gospodyni i zapewne nie opowiedziałaby o niej swoim koleżankom.

Stoję jeszcze chwilę w miejscu i próbuję wychwycić kilka słów z toczącej się obok rozmowy w jidysz. Chwilę później włączam się do ruchu, ostrożnie śledząc kątem oka kobietę czołg.

Kiedy wreszcie wychodzę z wody i wracam do przebieralni, roi się w niej od kobiet. Myją się pod prysznicami, nie zdjawszy sukienek. Czeka na swoją kolej, ale

nagle jakaś kobieta w średnim wieku przywołuje mnie przyjaznym gestem dłoni.

– Chodź, tu jest miejsce!

Zaczynamy rozmawiać. Wypytuje mnie, gdzie mieszkam, skąd pochodzę, czym się zajmuję. Po chwili wychodzi na jaw, że jestem Żydówką.

– No widzisz, od razu się domyśliłyśmy, że jesteś inna. Wydajesz się skromniejsza. Nie rozebrałaś się jak inne dziewczyny, które tu przychodzą – mówi i naśladuje gest bezceremonialnego zrzucenia ubrania, w jej oczach nieprzyzwoitego.

Uśmiecham się do niej, chociaż znacznie przecenia moją skromność. Przed oczami stają mi niezliczone kąpiele na golasa w szwedzkich jeziorach. Przypominają mi się wakacje, kiedy jeździłam na kolonie na Archipelag Sztokholmski, a nasi opiekunowie o hipisowskich imionach takich jak Kwiatek dwa razy w tygodniu wysiadali w saunie nago razem z dziećmi. W purytańskim świecie tej kobiety z pewnością nie ma takich wspomnień.

– To wyjaśnia, dlaczego zachowujesz się o wiele skromniej. Jesteś Żydówką – powtarza z namysłem.

W istocie zachowywałam się nieco inaczej niż zwykle, kiedy wchodziłam w tłum chasydek. Wkładałam długie spódnice i okrywałam się nieco bardziej niż na co dzień. Już sam fakt, że stoję pod prysznicem w kostiumie kąpielowym, to wyraz szacunku wobec tych kobiet. Przechadzanie się pośród nich na golasa byłoby niestosowne. Być może robię to też z obawy przed ich pogardą. Tymczasem one odbierają to jako dowód, że Żydówki to kobiety o większych walorach duchowych. Najwyraźniej ja, choć niereligijna, w ich ocenie i tak zachowuję się bardziej przyzwoicie niż gojki, nie-Żydówki, które przypadkiem trafiają tu w godzinach oznaczonych jako „women only”.

– Stosujesz zasady koszerności? Obchodzisz szabat? – dopytuje moja rozmówczyni. – Jak brzmi twoje żydowskie imię?

– Nie jestem religijna, ale przestrzegam niektórych tradycji – odpowiadam zachęcająco. – Mam na imię Nina. Może po żydowsku to Pnina? – dodaję niepewnie.

Nikt nigdy nie mówił na mnie „Pnina”, ale mój nauczyciel hebrajskiego w Szwecji powiedział mi kiedyś, że tak mogłoby brzmieć moje żydowskie imię. „Pnina” po hebrajsku znaczy „perła”.

– Pnina! To żydowskie imię – odpowiada z zachwytem kobieta i spogląda na otaczające nas koleżanki. – To jest Pnina ze Szwejd. A twoje nazwisko, Solomon, też jest przecież typowo żydowskie! Mamy tu w Williamsburgu wielu Solomonów.

Ma na imię Betti, jest nadzwyczaj towarzyska, urocza i wydaje się lubiana. Jedna z jej koleżanek trąca mnie po ufałe w bok.

– *She is a very special person* – oznajmia z powagą.

Zaraz po tym dowiaduję się, że Betti prowadzi w dzielnicy chasydów salon piękności.

– Jeśli będziesz miała jakieś pytania dotyczące spraw żydowskich, możesz do mnie zadzwonić. Dam ci swój numer – proponuje ochoczo, zanim się pożegnamy.

Po jakimś czasie rzeczywiście zadzwoniłam i zostawiłam jej wiadomość. Musiała jednak zmienić zdanie, bo nigdy się ze mną nie skontaktowała.

Wkładam spódnicę, w której przyszłam. Kobiety wokół mnie powoli zmieniają się w chasydki w perukach, chustkach, kapeluszach. Wypytyują się nawzajem, czy któraś może zaoferować podwózkę do domu. Choć ich teren zaczyna się zaraz po drugiej stronie mostu, w odległości dziesięciu minut spacerem, tylko nieliczne decydują się na przechadzkę przez dzielnicę Portorykańczyków.

*

Na Bedford Avenue z zaciągniętego ciężkimi chmurami nieba mży lekki deszcz. Mimo to decyduję się na spacer i zakupy w chasydzkich sklepikach. Po drodze rozmyślam, jak powinnam się zachowywać, by zyskać dostęp do tej społeczności. A gdyby tak udało mi się dostać jakąś małą fuchę w którymś ze sklepów na ich ulicy zakupowej, Lee Avenue? To byłby znakomity sposób na podreperowanie mojego słabiutkiego jidysz.

Rozpoznaje mnie sprzedawca w delikatesach Glaubera na Division Street. Jakiś czas temu kupiłam tu kiczowaty

tort urodzinowy, liliowo-różowe marzenie małej dziewczynki upstrzone kandyzowanymi kwiatami.

– Jaki ma krem? – zapytałam wtedy, zanim zdecydowałam się na zakup.

– *Gel un brojn* – wyjaśnił krótko.

„Żółte i brązowe” smakowało jak przesłodzony krem Nivea. Ale teraz to przemilczam i proszę o kilka plastrów wędzonego łososa, małą chałkę oraz knysz, niewielki nadziewany pierożek. Wiem, że jeśli się chce nawiązać kontakt, dobrze jest coś kupić. To pozytywnie nastraja ludzi. Najpierw kup, potem gadaj. To moja aktualna strategia na poznanie chasydów – aktualna i zarazem jedyna. I nie wiem, co poradzić na to, że okazują mi chłód.

Po tym jak Glauber położył na ladzie trzy malutkie pakunki, pytam go, czy nie potrzebuje pomocy w sklepie. Mówię, że wysokość wynagrodzenia nie ma dla mnie większego znaczenia, bo chodzi mi głównie o naukę jidysz. Zerka na mnie z powątpiewaniem, a ja próbuję robić przekonującą minę. A gdy kilka minut później skręcam w Lee Avenue, mam w kieszeni numer telefonu

do właściciela, Abrahama, czy też Abe'a, jak go tutaj zwą. Sprzedawca okazał się jego synem.

Przystaję pod sklepikiem reklamującym karty telefoniczne do tanich rozmów międzynarodowych. Za ladą stoi pulchny mężczyzna o sympatycznych szarych oczach. Wygląda na trzydziestolatka, ale zapewne jest nieco młodszy. Broda postarza o kilka lat. To maleńki kiosk, niewiele większy niż dziura w murze, w dodatku sprawia wrażenie nowo otwartego.

– *Hi* – mówi sprzedawca.

– *Hello*. Ma pan karty telefoniczne?

Wyjmuje jedną, za dziesięć dolarów, opatrzoną zdjęciem chasyda przy Ścianie Płaczu. Zamieniamy kilka zdań. On też ma na imię Abe. Popularne imię, myślę sobie.

– Mieszkam w pobliżu – wyjaśniam. – Prawie przy samym moście. Nie, to wcale nie tak daleko – odpowiadam po chwili na te same, powracające pytania. Potem dodaję jeszcze: – A tak zmieniając temat... Nie potrzebuje pan kogoś do pomocy w sklepie?

Spogląda na mnie.

– *You need a job, ah?* *Hmm...* Ja nie mogę nic zaproponować.

– Właściwie nie chodzi mi o zarobek – drążę. – No i ubierałabym się skromnie, rzecz jasna – dodaję ochoczo.

Abe kręci głową. Pracuje w sklepiku sam i zatrudnienie mnie w charakterze pomocniczki byłoby nie do pomyślenia. Niedobrze wypada już sam fakt, że stoimy tu tak i sobie rozmawiamy. Obiecuje jednak, że rozejrzy się dla mnie za jakimś miejscem.

– Sklep z ubraniami dla kobiet byłby lepszym rozwiązaniem – stwierdza. – Z żeńską obsługą i klientelą.

Nagle otwierają się drzwi i do środka wchodzi mężczyzna w czarnej jarmułce i z podwiniętymi rękawami koszuli. Wita się z Abe'em i od razu zabiera się do montażu automatu do lemoniady. Zostaję jeszcze chwilę. Kupuję niepotrzebnie trochę sałatki śledziowej i kilka kiszonych ogórków, próbując w ten sposób umocnić znajomość z Abe'em. Chłopak od lemoniady mówi, że zna koszerłą piekarnię na Manhattanie, która szuka ludzi do pracy. Jeśli jestem zainteresowana, poda mi numer telefonu.

– Nie, chcę pracować w Williamsburgu – odpowiadam. – Żeby się nauczyć jidysz.

– Mnie też najbardziej podoba się tutaj – zgadza się ze mną ten od lemoniady. – Tu jest bardziej tradycyjnie niż w innych chasydzkich dzielnicach. Kobiety nie pracują, tylko zajmują się domem i dziećmi. – Opiera się nonszalancko o korpus automatu i opowiada zabawną historijkę: – Kiedy ja i moja żona świętowaliśmy pierwszą rocznicę ślubu, zapytałem ją, co chce dostać w prezencie. Nic, odpowiedziała, więc dałem jej miotłę. Pomyślałem, że to przynajmniej jej się przyda! – Wybuchła głośnym śmiechem.

– Aha, rozumiem już, dlaczego ci się tu podoba – odpowiadam z uśmiechem.

Przez chwilę patrzy na mnie nierozumiejącym wzrokiem, jakby nie wyczytał ironii z moich słów, ale za moment podejmuje wywód na temat tego, jak bezsensowna jest praca zarobkowa kobiet, kiedy powinny się zająć dziećmi. Tymczasem Abe zdążył się zastanowić i proponuje, żebym zadzwoniła do pizzerii Green po drugiej stronie autostrady. Może tam przyda się ktoś do pomocy, to

duża restauracja. Żegnam się z postanowieniem, że tam zajrzę.

*

Pizzeria Green, najpopularniejsza koszerna restauracja w Williamsburgu, wygląda jak typowy amerykański bar szybkiej obsługi. Za długą beżową ladą młodzi starannie ogoleni chłopcy w białych koszulach i jarmułkach przyjmują zamówienia klientów. Kobiety, niewyglądające na chasydki, uprzątają talerze i przecierają stoliki, zanim usiądą przy nich następni goście. Lokal jest podzielony na dwie części niewysoką ścianką. Mężczyźni siedzą po stronie z oknami wychodzącymi na ulicę, kobiety w głębi pomieszczenia. Po ich stronie prawie przy każdym stoliku stoi wózek.

Jakaś kobieta z chłopcem, niosąca tackę do stolika, nagle zatrzymuje się na mój widok.

– Spotkałyśmy się na basenie, prawda? – pyta, wyraźnie zaskoczona, że znów się widzimy, w dodatku w takim miejscu.

– Tak... – odpowiadałam niepewnie.

Gorączkowo próbuję odgadnąć, kim ona jest. Wyobrażam ją sobie bez granatowego kostiumu ze złotymi guzikami, peruki ufryzowanej na pazia i małego eleganckiego kapelusika, za to w czepku i kwiecistej sukience kąpielowej. Rozmawiałam wtedy z kilkoma dziewczynami. To musi być ta od Mii Farrow, decyduję w końcu.

– Jak miło – odpowiadałam z ciepłym uśmiechem. – Co za zabawny zbieg okoliczności.

Być może okazuję zbyt dużo entuzjazmu, bo po pierwszej, przyjaznej reakcji ona nagle poważnieje, jakby znów zdała sobie sprawę, że robi coś niewłaściwego. Wraca do stolika, przy którym czeka na nią koleżanka. Obie są ubranymi ze smakiem pięknościami o ciemnej karnacji. Ta druga zerka na mnie z zaciekawieniem, Mia Farrow siedzi zwrócona do mnie plecami. Zjadłam już, ale zostaję jeszcze chwilę. Jest pora lunchu i restauracja pęka w szwach. Tylko do mnie nikt się nie dosiada.

Jakaś kobieta zajmuje miejsce naprzeciwko mnie, po skosie, ale za moment wstaje i siada tam, gdzie właśnie

się zwolniło. Odprowadzam ją wzrokiem i widzę, jak zagaduje nową sąsiadkę przy stoliku. Ta odwraca głowę i patrzy na mnie bez zażenowania. Zaczynam się czuć nieswojo. Upewniam się, czy moja puchowa kurtka jest zapięta pod samą szyję – tutejszym kobietom nie wolno pokazywać obojczyków – i dodatkowo zakładam nogę na nogę.

Po chwili podchodzi następna kobieta i sadza małego synka na krześle przy sąsiednim stoliku. Kiedy odchodzi, by zamówić jedzenie, robię miny do chłopca, próbując go rozbawić. Wygląda na pięciolatka, ale potrafi powiedzieć po angielsku tylko „yes” i „no”. Wróciwszy, jego mama wynajduje wzrokiem wolny stół w drugim końcu sali i odchodzą. W końcu uznaję, że na dziś wystarczy.

Po drodze do wyjścia przystaję jednak przy stoliku Mii Farrow, przedstawiam się i pytam ją o imię. Wygląda na zakłopotaną.

– Małka – odpowiada szybko, ale jej sarnie oczy mówią wyraźnie: „idź sobie stąd”.

Stanowczo przesadziłam z okazywaniem jej sympatii. Ciekawość, jaką widziałam w jej oczach na basenie, minęła jak ręką odjął. Tam mogła ze mną chwilę porozmawiać, ale tu, w pizzerii, to nie wchodziło w grę. Sąsiadki z pobliskich stolików pewnie już strzygą uszami. Ludzie lubią gadać. Koleżanka Małki patrzy na mnie z nieskrywaną niechęcią, najpewniej zaszokowana moim natręctwem. Szybko wychodzę zasmucona. To było niezręczne z mojej strony. W drodze do domu siatka z jedzeniem ciężko obija mi się o nogę.